

№ 41 Rok XXII.

Dnia 29 Września (12 Października) 1901 r.



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



*Dobra gosposia.*



## Gospośnia.

*Mam ja własne gospodarstwo,  
To wesole to skrzydlate,  
Moje są te gołąbeczki,  
Moje kurki te czubate!*

*Ledwie błysną ranne zorze,  
Ledwie słońko ze snu wstanie,  
Już ja spieszę na podwórko  
Z ziarenek sypać im śniadanie.*

*A jak tylko się ukaże,  
Wraz gromadka przylatuje,  
I otacza mię dokoła  
Wita, prosi i dziękuje.*

*Gąski skubią za fartuszek,  
Te łakome gąski białe,  
Gdaczą kurki barwno-pióre,  
Gruchają gołąbki małe.*

*A ja każde z nich upieszczę,  
I nakarmię i napoję,  
Bo to moje gospodarstwo,  
Moje własne, moje, moje!*

M. D.

## Stanisław Staszyc.

Kartki z pamiętnika,  
przepisała Z. Morawska.

(Dalszy ciąg).

Spojrzałem z uśmiechem, bo mnie zabawiło to powitanie, choć mówiąc nawiasem, czułem, że mi się zaczerwieniły policzki, pod uszczyptnięciem jego żyłastych palców.

— Urwis, powiadam ci, urwis nad urwisami, ale mimo to dobrze mi z oczu patrzy, — mówił, zwracając się do ojca.

— A masz ochotę do nauki? — spytał mnie nagle.

— Mam i pragnę się dobrze uczyć, ażeby być godnym obywatelem kraju, dla którego dobra tacy mężowie, jak jegomość dobrodziej, pracują! — odrzekłem, całując go po wtórnie w rękę.

— Patrzcie, na komplementa się bierze! — rzekł, uśmiechając się Staszyc. — Ucz się chłopcze, ucz i pamiętaj sobie, że ciemnota największym jest wrogiem człowieka!

Ojciec zaś mruknął coś pod nosem, lecz widziałem na jego twarzy z mego odezwania się wielkie ukontentowanie. Potem z ojcem rozmawiał o wielu sprawach publicznych.

— Kraj nasz jest bogaty — mówił zacny mąż — tylko nie umiemy z tych bogactw korzystać; mamy kopalnie żelaza, marmurów, kredy, ba, nawet srebra około Olkusza, ale te wszystkie skarby marnują się przez niedbalstwo i przyrodzone próżniactwo nasze.

— Przecieżeś jegomość poruszył tę sprawę, w Chęcinach i około Kielc wydobywają już marmur i myślą o oczyszczeniu zaniedbanych i zalanych kopalni w Olkuszu — rzekł ojciec.

— Robi się, robi co można — odparł jakby zawstydzony. — Ale to tam jeszcze dużo wody upłynie, zanim prawdziwe korzyści z tego źródła popłyną — dodał.

I zaraz począł:

— A to mój bracie, zapewneś słyszał, że zawiązuje się Towarzystwo Przyjaciół Nauk, jutro ma być pierwsza sesja, gdybyś chciał, mógłbym cię wprowadzić.

— Z wielkiem uszczęśliwieniem przyjąłbym tę propozycję — odparł mój ojciec — ale czy taki simplex servus Dei i hreczkosiej, jak ja, będzie tam na miejscu?

— A czyliż do Towarzystwa Przyjaciół Nauk mają należeć jeno ci, co jak myszy między papierami siedzą, a piórem po nim orzą! — zawołał Staszyc. — Nauka wszystkich obchodzić powinna; każdy winien być jej przyjacielem. Ci, co orzą ziemię, mogą wielce się przyczynić do rozwoju onego Towarzystwa, podnosząc gospodarstwo rolne i oświatę w swojej okolicy. Przyjaciółmi nauki wszyscy być powinni od małego do dużego — skończył z zapalem.

Serce mi zabiło radością. I mnie może będzie wolno wejść na tę sesję! — pomyślałem sobie.

A Staszyc, jakby przeczuł te myśli, mówił:

— Juścić dzieciaków ani młokosów, którzy są do nauki, nie do rady, na sesję nie zaprosimy — ale ludzie dojrzały bardzo są pożądanymi. *Modestia*, mój bracie, jest także wadą — dodał, patrząc na rozradowane oblicze ojca tą propozycją i wskazaniem nowego działania. Boć muszę z chlubą wyznać, że ojciec mój bardzo chętnie wdawał się w de publicis.

— A możebyśmy poszli dziś do teatru, podobno piękny spektakl dają — zapytał po chwili ojciec.

Snać z tem zapytaniem ojciec nie bardzo wybrał się w porę, bo twarz uczonego męża nagie pokraśniała i wielką radością wyraziste oczy zabłysły, potem jednak spochmurniał. Potarł ręką wysokie czoło, wciągnął niuch tabaki do ogromnego nosa i kichnąwszy potężnie, rzekł:

— Tak, tak, piękny spektakl... ale widzisz... tego... mało mam dziś czasu.

Usłyszawszy to, ojciec począł się żegnać, a on zwracając się ku mnie, rzekł:

— Przyjdź tu czasem do mnie, wisusie, może ci będzie potrzeba uszu natrzeć, ja w tem ojca wyreczę!

— Choćby i po wytarganie za uszy, przyjdę z ochotą, jeżeli jegomość dobrodziej pozwoli — rzekłem, całując go w rękę.

Mówiłem to szczerze, bo ten uczonego mąż swoim wyrazem a dobrotliwym obliczem robił na mnie takie wrażenie, iż zdawało mi się, że każdy jego wyraz wielkimi głoskami zapisuje się w mojem sercu i skłaniać mnie będzie ku nauce i pracy.

2 Września 1800 r.

Pierwszy raz w życiu byłem w teatrum i nie wiem, jak mam ojcu dobrodziejowi za to ukontentowanie dziękować. Dawano „*Cud mniemany czyli Krakowiaczy i Górale*” bardzo piękny wodewil przez Wojciecha Bogusławskiego \*). Tak jestem zachwycony tem przedstawieniem, iż nie rozumiem, czy może być większa przyjemność, jak bywanie w teatrze.

Teatrum zbudowano na placu Krasińskich jeszcze przed kilkunastu laty. Bardzo to wspaniały gmach, z kolumnami od wejścia. Dla publiczności są krzesła na dole, na pierwszym piętrze łoże i amfiteatr. Miejsca tutaj są bardzo drogie, więc ojciec wziął na amfiteatr drugiego piętra, mówiąc:

— Nie mogę wydawać tak dużo na przyjemności.

Co prawda wszystko tu ogromnie drogie, ale na teatr to już chyba nie żal wydawać pieniędzy.

Patrząc na scenę, słuchając rozmowy i śpiewu aktorów, nie mogłem sobie wyobrazić, żeby tak można udawać mowę wieśniaków i górali, którzy zupełnie inaczej mówią niż nasi wieśniacy. Zabawny też był bardzo organista, który mówił *szam*, zamiast *san*, *czo*, zamiast *co* i t. p.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że tak nikt nie mówi, ale ojciec mi przypomniał, że i nasz organista z Kolałowa tak samo wymawia.

\*) Sztukę tę wznowiono kilka lat temu w teatrze letnim w Warszawie.



Nietylko ja byłem ze spektaklu uszczęśliwiony, znać wszystkim się sztuka bardzo podobała, bo gdy zapuszczono kurtynę, widzowie ukontentowanie swoje wyrazili klaskaniem w dłonie. Ja też parę razy klasnąłem, bom się powstrzymać nie mógł od wyrażenia, że mi się sztuka i gra aktorów bardzo spodobała. Ale ojciec zaraz mi szepnął.

— Dosyć, dosyć, we wszystkim trzeba mieć pomiarowanie.

Wtem nad nami, na trzecim piętrze, to jest na paradyzie poczęto nietylko klaskać, ale tupać w podłogę, wywołując aktorów. Obejrzałem się i nad nami ujrzałem jakiegoś jegomościa w wielkiej rudej peruce, który mi tak do uczonego Staszycza wydał się podobny, że aż rzekłem do ojca:

— Jak ten pan przypomina Staszycza! doprawdy, chyba, że on!

— Et, widzi ci się! — odparł ojciec.

Zaczął jednak przyglądać się, co gdy ów jegomość spostrzegł, skrył się między innych. Ojciec zaś rzekł, siadając:

— Prawda, ładzące podobieństwo!

— A może to on — szepnąłem.

Ojciec nic nie odrzekł, a ja o jegomości w rudej peruce zapomniałem; właśnie podnieśli kurtynę.

Nareszcie skończył się spektakl i wychodziliśmy z teatrum.

I oto spotkała mnie niespodzianka, którą do drugiego spektaklu porównać mogę.

(d. c. n.)

## Przygody królewicza Edwarda.

(Dalszy ciąg).

Książę wszedł i stanął przy drzwiach. Pustelnik zmierzył go bystrym, niespokojnym wzrokiem i zapytał:

— Kto ty jesteś?

— Jestem królem Anglii.

— Witaj, królu! — rzekł pustelnik z zapałem. Żwawo przystawił do ognia ławeczkę, aby król spoczął i ogrzał się, rzucił na ogień nową wiąznię chrustu i nerwowo zaczął chodzić wzdłuż i wszerz po izdebce, mówiąc sam do siebie:

— Wielu szukało tu uświęcenia ale z wielu powołanych, mało jest wybranych, lecz król, który porzuci tron i koronę, ubierze się w łachmany i przyjdzie tu umartwić ciało i rozmyślać nad zbawieniem duszy, tego witam radośnie! Ten może tu pozostać do końca życia.

Księżciu wcale się nie uśmiechała taka perspektywa, więc żywo opowiedział starcowi, skąd tu przyszedł i prosił, aby go wyprowadził z lasu i tym sposobem dopomógł odnaleźć jego przyjaciela. Ale pustelnik zdawał się wcale nie słuchać mowy księcia, zbliżył się do okna, chwilę nasłuchiwał uważnie, potem na palcach idąc, podszedł do księcia i rzekł mu szeptem do ucha:

— Ja jestem archanioł!

Biedny książę zadrżał, zrozumiał, że ma przed sobą człowieka chorego na umyśle, a tak silnego fizycznie, iż jednym uderzeniem potężnej swej ręki mógł go zabić, na dworze zaś noc, dziki zwierz i zimno. Co tu robić?

Starzec, widząc przestach na twarzy dziecka, rzekł tajemniczym głosem:

— Drżysz, to święta bojaźń cię ogarnia! Widzisz, że jestem archaniołem, a mógłbym być papieżem, bo mi to we śnie było objawione, ale król Henryk VIII-my zabrał nam nasz klasztor, i biedni bracia bez dachu nad głową rozproszyli się po świecie, lecz kara za to przyjdzie — wkrótce przyjdzie! — zawołał z mocą.

Możemy sobie wyobrazić, co się działo z księciem, słysząc tę groźbę starca. Na szczęście, atak jego wkrótce przeszedł, spojrzawszy na wystraszone dziecko, pogładził je po głowce i zaczął przygotowywać wieczerzę. Książę uspokoił się trochę, ogrzał, zjadł z pustelnikiem ciepły posiłek i z przyjemnością położył na twardym łóżku, na którym starzec otulił go starannie ciepłym kożuchem. Uczynwszy to, pustelnik odchodził od łóżka swego małego gościa, gdy nagle myśl jakaś błysnęła w jego biednej głowie, powrócił do łóżka i zapytał:

— Ty jesteś królem Anglii?

— Tak — była senna odpowiedź.

— To Henryk umarł?

— Niestety — tak. Ja jestem synem jego.

Twarz starca przybrała srogi wyraz. Stał przez chwilę, zgrzytając zębami i zaciskając pięści, wreszcie rzekł głucho:

— A wiesz ty, kto nas wyгнаł z klasztoru i pozbawił dachu nad głową?

Nie było odpowiedzi na to pytanie. Dziecko usnęło. Starzec popatrzył na miłą jego twarzyczkę, zaczął coś szeptać do siebie, potem wyszedł do drugiej izdebki, poszukał wielkiego noża, poczem zaczął go starannie ostrzyć. Gdy nóż wydał mu się dostatecznie ostry, podszedł na palcach do łóżka dziecka i podniósł rękę, aby je przebić. Wtem książę poruszył się niespokojnie, starzec odskoczył i wyszedł do drugiej stancjki. Tam poszukał jakichś gałganów i kawałek postronka, i wróciwszy pocichutku do dziecka, z delikatnością macierzyńską związał mu ręce i nogi, książę szarpnął się i przez sen zawołał, „Hendon.”

Starzec znów się cofnął, patrząc istic krogulczem okiem na swą ofiarę. Po chwili szepnął: „krzykiem może tu zwabić kogo,” i związał mu usta szmatą, lecz książę otworzył oczy w tej chwili, a czując się związanym, jęknął głucho. Starzec poraz drugi podniósł rękę, aby go przebić, lecz śliczne oczy dziecka patrzyły na niego z takim wymownym wyrazem, że swoje oczy mimowoli zakrył ręką, nie mogąc znieść wzroku księcia.

Nagle wśród głębokiej ciszy w tej chwili okropnej, dały się słyszeć kroki i szepty pod oknem chatki. Starzec zadrżał, nóż w kąt rzucił i wybiegł do lasu. Przez okienko ostrożnie zajrzeli do wnętrza — Cauty i Hugo, którzy, ujrawszy poprzednio księcia uciekającego do lasu, puścili się byli za nim w pogoń i za światełkiem doszli do chatki pustelnika. Widząc, że w izbie niema nikogo, weszli, aby tam pogospodarować po swojemu, wtem od strony łóżka usłyszeli głucho jęk; to książę jęknął mimowoli, ujrawszy swoich przesładowców. Przystopili do niego, a poznawszy księcia, wybuchnęli szatańskim śmiechem.

— Już nam teraz nie ujdiesz, kochanku — mówili, odwiązując mu usta, ręce i nogi; zabrali pustelnikowi chleb i nóż, wzięli księcia między siebie i poszli w las.

Biedny książę poraz drugi znalazł się wśród złodziejskiej bandy, widział, że niepodobnem stało się odszukać Hendona, ani wrócić na królewski zamek. Rozpacz miotała jego młodem serduszkim, niedobry Hugo dokuczał mu okropnie za jego ucieczkę, aż doprowadzony do ostateczności książę porwał pierwszy lepszy kij i zaczął nim okładać wyrostka z całych sił; ten ostatni, niespodzianie zaskoczony, nie umiał się bronić i uciekł haniebnie w gęstwinę, zbity na kwaśne jabłko przez małego przeciwnika. Ubawiona walką banda, okrzyknęła księcia bohaterem, ale Hugo postanowił się zemścić. Wkrótce nadarzyła się sposobność; wyszli z lasu i szli ku wiosce, cała banda rozpierchła się po okolicy, Hugo trzymał księcia mocno za rękę, gdyż tylko we dwóch dążyli drogą do wsi. Przed nimi szła tęga wieśniaczka, dźwigając dobrze wyładowany kosz, co widząc, Hugo rzekł nagle do księcia:

— Zaczekaj tu na mnie chwilę, zaraz powrócę.

Poskoczył za wieśniaczką i w gnieniu oka porwał jej z kosza pokaźne zawiniątko. Kobieta krzyknęła, lecz nim się odwróciła i zmiarkowała, co zaszło, już Hugo rzucił za-



winiątko księciu, a sam zniknął za krzakami przydrożnymi. Zaperzona wieśniaczka przyskoczyła do księcia, chwyciła go silnie za rękę i zaczęła mu grubiańsko wymyślać, czem oburzony książę, zawołał:

— Puść mnie, głupia kobieto, ja nie dotknąłem się nawet twego zawiniątka.

A że ta scena miała miejsce tuż przy wiosce, więc kowal z kuźni, karczmarz z szynku, kobiet i dzieci wiejskich gromada, zbiegli się w jednej chwili i wszyscy urągali mniemanemu złodziejowi. Trudno przewidzieć, co by się wtedy z księciem stało, gdyby w tej chwili silne jakieś ramię nie machnęło w prawo i w lewo ogromnym mieczem, rozpędzając wrogi tłum, a zarazem donośny głos zawołał:

— Odstąpcie, dobrzy ludzie, sprawa ta należy do sądu. Puść chłopca, kobieto, ja się tem zajmę.

Uradowany książę poskoczył ku swemu zbawcy z okrzykiem:

— Długo zwłóczyłeś, rycerzu, z twem przyjsciem, ale nareszcie znalazłem cię. Uwolnij mnie od tego motłochu!

## X.

### Koronacja.

Słyszając te słowa Hendon położył palec na ustach na znak milczenia, nie chciał bowiem, aby ci ludzie dowiedzieli się, że on zna księcia. Spojrzał na chłopca surowo, wziął go za rękę i nie mówiąc ani słowa, udał się z nim do pobliskiego miasta, niby to prowadząc winowajcę do sądu. Posilili się w oberży, Hendon ubrał księcia w to ubranie, które mu kupił w Londynie, i nosił z sobą, najął jakieś takie konie i udali się do Hendon Hall. Na drugi dzień podróży, Miles stał się bardzo rozmowny, bo zbliżając się do rodzinnego miejsca, poznawał każdy gaj i pagórek, a ukazując księciu w oddali wieżę kościołka i pańską obszerną siedzibę, wśród zieleni drzew, zawołał wzruszonym głosem:

— Oto jest Hendon Hall, piękne miejsce, prawda? — Jest tam siedemdziesiąt pokoi i dwudziestu pięciu służących u mego ojca.

Rzekłszy to, dał koniowi ostrogę i żwawym kłusem pojechali drogą do zamku. Przede drzwiami wchodowymi Miles prędko zeskokczył z konia i podając księciu rękę, rzekł:

— Witam cię, królu, w Hendon Hall! Jakże mój ojciec, mój brat i lady Edyta radzi cię powitają w swym domu!

Potem szybko przebiegł duży przedsionek, wszedł do obszernej komnaty, gdzie wesoły trząskał ogień na kominię i trzydziestoletni mężczyzna siedział przy stole, zarzuconym papierami.

Miles zobaczywszy go, zawołał:

— Uściskaj mnie, Hugonie! Zawołaj ojca, bo nie będę się czuł w domu, dopóki nie ujrzę jego twarzy, nie usłyszę jego głosu i nie dotknę jego ręki!

Twarz Hugona wyraziła przez chwilę wielkie zdziwienie, cofnął się od uścisku, spojrział z obrażoną dumą na przybysza, potem obrzucił go ciekawym spojrzeniem, zrobił litościwą minę i rzekł łagodnym głosem:

(d. c. n.)

opr. M. Strebekowa.

# WAKACYE W WARSZAWIE.

POGAĐANKI O ARCHITEKTURZE

przez

Waleryę Marrené - Morzkowską

(Dalszy ciąg).

— U nas, moje dzieci, było i jest na szczęście pełno ludzi cichej zasługi, którym chodzi o to, by robić rzeczy pożyteczne. a nie o to, by ich sławiono. Swojego czasu jednak Magier był bardzo popularny; zostawił kartę w dziejach nauki i w historii naszego rozwoju. Czy to nie dość? Pokłońmy się jego dawnej siedzibie i uchodźmy dalej na ulicę Ś-to Jańską. Może tam jeszcze co ciekawego znajdziemy.

— Będziemy patrzeli, odezwali się wszyscy.

— I widzieli — dodała Halinka.

Wracali tedy przez Stary Rynek, a pan Jaczyński zadeklamował:

Stare Miasto, znam treść twą, znam  
[twych ulic wnętrza,  
Gdzie tłum świątyni i domów bezła-  
[dnie się spiętrza,  
Gdzie jak patrycyusz dumny, choć  
[w odzieniu świętem  
Stoją domy pod słońcem, pod lwem,  
[pod okrętem...

— Co to za wiersze? kto je napisał? — pytały dzieci.

— Napisał je poeta współczesny, znany pod nazwą Or-ota, wielki znawca i miłośnik naszych arcydzieł.

— Dom „pod lwem” — zawołała Marynia, która także chciała się popisać uważnem patrzeniem — to chyba ten.

I pokazywała dom narożny Starego Rynku i Ś-to Jańskiej ulicy.

Halinka i Tadzio pobiegli go obejrzeć.

— Ojczel! ależ to jakiś potwór — mówiła Halinka. — Dwa ciała, a głowa jedna.

Rzeczywiście z jednej i drugiej strony domu były dwie głowy, które na rogu łączył łeb kudłaty.

— Widzicie, jaką to bujną fantazyę mieli dawni mieszkańcy Warszawy!

— Doprawdy ojczel — zawołała Halinka, — kiedy tu chodzimy, zdaje mi się, że przeglądam jakąś starą książkę, z ciekawymi rycinami. To nawet ciekawsze niż style. Bo co prawda, to w tych wszystkich domach, stylu dopatrzyć się trudno.

Stawiano jednak te wszystkie domy, według panującego w danej chwili smaku. Ale cóż, uległy one przeróbkom rozmaitym, a tynk zatarł krzywdy i rany, jakie im zadano. Tylko więc gdzieś tam pozostały ślady da



wnych ozdób i w nich to odszukać można coś gotyckiego lub ślad odrodzenia.

— Okręt! okręt! — wołała Marynia, stając przed numerem 31 — dom pod okrętem.

— A tu, jaki ładny kamień zamyka sklepienie drzwi — pokazywał Tadzio numer 3.

— A tu znowu jest wyryta data — mówiła Halinka, pokazując numer 4., a że miała wyborne oczy wyczytała rok 1684.

— Tutaj jest dawniejsza data — doczytywał się Tadzio — bo r. 1664. To pewno oznaczony jest czas postawienia domu. Prawda ojczu?

— Tak się zdaje, ale może to być także data jego restauracji. I to jest prawdopodobniejsze, bo ulica ta jedna z pierwszych była zabudowana.

Marynia, ujrawszy katedrę, bardzo się nią zachwyciła a Halinka i Tadzio tłumaczyli jej to, co o niej słyszeli od ojca i pan Jaczyński przekonał się, że wszystko zapamiętali doskonale.

Poszli jeszcze obejrzeć Kanonię. Wprawdzie byli już tutaj, wówczas, gdy obchodzili naokoło kościół katedralny, wtedy jednak, patrzeli na niego jedynie, teraz zaś ojciec zwrócił ich uwagę na stare domy, które się naprzeciw niej wznosiły. Domy te miały także znamiona starożytności, były także wysokie i wąskie, jeden z nich nawet miał tylko po jednym oknie na każdym piętrze.

Dzieci śmiały się, że takiego domu jeszcze nie widziały. A pan Jaczyński powiedział, że istnieje podobny dom czteropiętrowy na Nowem Mieście.

— Ale dlaczego, ojczu, takie zabawne domy stawiano? — spytała Halinka.

— Istnieje twierdzenie, że im większe znaczenie miał mieszczanin warszawski, miał prawo budować dom o większej liczbie okien frontu, a jakoby domy o jednym oknie świadczyły, że stawiający go był stanu chłopskiego; jednakże twierdzenie to nie jest poparte żadnym dokumentem.

— Kanonia — mówił po chwili pan Jaczyński — ma dla niektórych wielki urok. Tak pięknego widoku niema



*Figiel fotograficzny.* Przedstawione na tej rycinie siedm panienek są właściwie, jak to widzimy z podobieństwa, fotografią sztucznie zestawioną trzech tylko osób.

w całej Warszawie, bo z frontowych okien widać katedrę a z dziedzińców Wisłę; panuje tu wielka cisza, bo na ulicę zajeżdżają tylko jej mieszkańcy, a przytem można tu oddychać przeszłością. Wszystko to sprawia, że są ludzie, rozmiłowani w tej oryginalnej ulicy, tak blizkiej wrzącego życia miasta, a przytem tak spokojnej.

Widocznie pan Jaczyński sam należał do zwolenników Kanonii, bo porzucał ją niechętnie! Dzieci oglądały się także po starożytnych, a czystych domach.

## XI.

Wyszli znowu na ulicę Świętojańską.

— Proszę wuja — zawołała Marynia, której podobała się coraz więcej przechadzka po mieście — słyszałam zawsze, że Warszawa ma tak mało kościołów, a tutaj oto drugi tuż przy katedrze.

— Dużo kościołów jest tylko w starej dzielnicy, ale kiedy już tu jesteśmy, zastanowimy się nad tym sąsiadem fary

— On wcale do niej niepodobny — wyrzekła Halinka.

— Jest to kościół Najświętszej Panny Łaskawej, dawniej księży Pijarów.

Tadzio przypatrywał się uważnie fasadzie kościoła, przeszedł na drugą stronę ulicy, kręcił głową z widocznym zafrasowaniem, aż wreszcie wrócił do ojca.

— Ja nie wiem, jaki jest styl tego kościoła — wyrzekł. Jest on taki dziwny, jakby podzielony na piętra, ma jakieś kawałki filarów płaskich, z głowicami korynckimi, na dole coś nakszałt przystawki, która je zakrywa do połowy, a w tej przystawce niema nawet głównego wejścia, tylko dosyć niskie drzwi. Proszę ojca, wszystko razem tak wygląda, jakby się z sobą kłóciło.

— Rzeczywiście — odparł pan Jaczyński — tego kościoła trudno pięknym nazwać.

(d. c. n.)



*Najdłuższy aparat fotograficzny na świecie.* Aparat ten, mierzący 135 stóp długości, zbudowany został w Waszyngtonie, specjalnie dla robienia zdjęć z korony słonecznej w czasie zupełnego zaćmienia słońca, widzialnego w Ameryce północnej 28 maja 1900 r. Z powodu swej długości nie był wszakże wprost zwrócony ku słońcu tylko obraz jego wpadał do obiektywu, przez odbicie się w lustrze.



## Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Ponieważ dzień był odpowiedni bardzo do przechadzki, bo nie było słońca, poszliśmy do Dap-eau pieszo. Jest to osada podobna do tej, z której powracaliśmy, tylko cztery kilometry dalej. Droga bardzo ładna, bo okolica górzysta. Mamusia weszła na jeden z pagórków, z których przeszliczny roztaczał się widok. Z jednej strony w bukiecie zielonych palm i bambusów, na kobiercu łąk ryżowych, widać było Dap-eau, z drugiej chaty Bac-niuch, pokryte słomą, koło których kręciły się kury, co przypominało trochę polską wieś. Mamusia, stojąc tak na wzniesieniu, długo patrzyła na ten krajobraz.

Po drodze wstąpiliśmy jeszcze do tak zwanej pagody królów. Jestto bardzo stara świątynia, poświęcona dawnym królom panującym w Annamie i tu są wszyscy pochowani. Jestto coś w rodzaju Wawelu. Grobów jest około 50, a na każdym z nich wykuty z kamienia ogromny żółw, na nim dopiero kamień z napisem kto w grobie spoczywa. Cmentarz ten znajduje się wśród ogromnego dziedzińca, poza którym znajdują się inne dziedzińce puste, służące do rozmaitych zebrań, gdzie co trzy lata zjeżdżają się egzaminatorzy i uczniowie. Jestto bardzo ciekawa uroczystość, sprowadza ona mandarynów z najodleglejszych stron, w dziwacznych, bardzo starożytnych kostiumach. Każdy kandydat ma swój maleńki, osobny namiot, w którym odrabia swoje prace, a że kandydatów jest często kilka tysięcy, więc pole całe zalegają, jak okiem sięgnąć, te maleńkie namioty.

W pagodzie królów nie ma posągu Buddy, bo jest to rodzaj kaplicy żałobnej, poświęconej pamięci zmarłych. Stoją tam tabliczki lakierowane, czerwone, ze złotymi napisami nazwisk królów, leżących na tutejszym dziedzińcu.

Z pagody szliśmy godzinę szeroką drogą przez pola bardzo malownicze. Wszędzie piękne widoki, stawy odbijające w swych spokojnych wodach cudną zieloność bambusów.

Z daleka ujrzelśmy dachy murowanych pałaców królewskich, a przybliżywszy się, zachwyciły się oczy nasze wspaniałością ogrodów, otoczonych murami i dziwacznie pociętego w rozmaity sposób dachu pagody. Brama główna, ogromna i wspaniała, ozdobiona jest z wierzchu figurami zwierząt podobnych do psów, a po obu stronach stojącymi na straży kamiennymi, naturalnej wielkości tygrysami. Trzeba było przejść przez obszerny dziedzińiec, na którym wznosił się grobowiec olbrzymiej wielkości, i kilka mostków, aby się dostać do pagody największej i najpiękniejszej z tych, które się tam znajdowały. Napełniona była dziwnymi postaciami, wśród których królował Budda w asyście złych i dobrych geniuszów. Nie przeszkadzali oni widocznie zmarłym, bo i tutaj tabliczek lakierowanych na czerwono była wielka ilość.

Opowiadała nam mamusia, że cześć przodków u buddystów jest główną treścią ich religii, bo podług ich wyobrażeń każdy człowiek ma trzy dusze: jedna z nich po śmierci przenosi się do krainy cieniów i tam staje przed sądem bóstw, mających władzę nad nią; druga pozostaje przy włókach, trzecia wreszcie czuwa nad tabliczką, wyobrażającą zmarłego. Tabliczki te, prawie jednakowe dla wszystkich stanów, noszą napis imienia i godność zmarłego; są to wazkie deszczuiki, osadzone na rzeźbionych postumentach. Chcąc więc należycie uczcić zmarłego, trzeba zanosić modły i ofiary dla każdej z tych trzech dusz z osobna, to jest trzeba w porach przepisanych odwieźć kaplicę przodków, groby, wreszcie świątynię bóstwa Czeng-Hwang, pod którego opieką pierwsza dusza zmarłego przebywa. Nawet te dzieci, które za życia rodziców

wcale nie były wzorowe, po ich śmierci wypełniają najsumienniejsze wszystkie przepisy i zwyczaje, z cziąg przodków związek mające, nietyle przez wzgląd na umarłych, jak w swym własnym interesie, gdyż w razie uchybienia zachodziłoby niebezpieczeństwo, że duchy te wrócą na ziemię, ażeby je ukarać, a nawet sprowadzą sobie na pomoc inne złośliwe duchy.

Jeśli ktoś z rodziny zachoruje, członkowie rodziny natychmiast składają ofiary przed tabliczkami przodków, na wypadek gdyby choroba była karą za jakieś zaniedbanie z ich strony. Jeśli chory prędko nie wyzdrowieje, należy wezwać wróżkę, znającą się na rzeczy, która ma zdecydować, czy obrażony duch jest jednym z własnych przodków, czy też jednym z owych sierocych duchów żebraczych, któremu nie dostało się nic z ofiar tej rodziny.

W pierwszym wypadku zapalają wielką ilość papierowych pieniędzy przed tabliczkami przodków, w drugim palą się ofiary na zewnątrz domu. Jeśli to nie pomoże, wzywa się kapłanów do wyklinania duchów i strzeżenia drzewi, żeby więcej wrócić nie mogły. Jeśli chory wpada w malinę, to znak, że jakiś zły demon porwał jedną z jego dusz i w takim razie ktoś z rodziny wychodzi przed dom z zapaloną latarnią, ażeby duchowi poświecić i zwabić go pewnymi melancholicznymi tonami.

Nie byłabym umiała zapamiętać tych wszystkich szczegółów, gdyby mi mamusia nie dopomagała do zapisania ich tutaj w moim dzienniczku. Mamusia w ostatnich czasach z wielkiem zajęciem czytała dzieło pani Gordon Cumming po angielsku i obiecała mi opowiadać więcej ciekawych szczegółów dla wypełnienia pamiętnika.

Wyszedszy z tej pagody, weszliśmy znów na jakiś dziedzińiec, w pośrodku którego stoi wspaniały grobowiec, zupełnie nowy i bardzo duży. Pilnuje go ośmiu rycerzy z kamienia wykutych. Wybadując z trudem, chodzących za nami Anamitów, dowiedzieliśmy się, że to sam wice-król dla siebie ten grobowiec wybudował i każdy bogaty dostojnik zawsze za życia sam sobie przysposobi ostatnie mieszkanie. Podobno panuje między buddystami zwyczaj ofiarowania w 60-tą rocznicę urodzin rodziców piękną trumną, która od tego czasu stanowi najpiękniejszy i najwięcej cenny sprzęt domowy.

Prywatny dom i ogród Kuich-luse oddzielony był zupełnie osobnym murem i z początku mówiono nam, że wejście tam jest surowo wzbronione. Po wielu jednak poszukiwaniach udało nam się znaleźć drzwi w murze otwarte. Jeanne wsunęła się ciekawie najpierwsza, ja za nią; wtem na nasze spotkanie wychodzi boy; już chcieliśmy się cofać w obawie, aby nas nie wyprosił, gdy ten przeciwnie mile nas powitał i ofiarował się oprowadzić. Otwierałyśmy z Jeanne oczy ciekawie, aby nic nie uszło naszej uwagi. Dwa pierwsze pokoje, do których nas wprowadził, były bardzo duże, ale wazkie, unieblowanie ich składało się z kilku foteli rzeźbionych pięknie, lub wysadzanych perłową masą, podobnymi stołami i rodzajem łóżka, dużego, płaskiego, które służy do siadania; a siadają tu zawsze z nogami, nawet na fotelach, które zapewne dla tego są ogromnie szerokie. Na ścianach wisiały dyplomy na rozmaite ordery i dwie fotografie cywilnych europejskich pań, które w tem otoczeniu zabawnie wyglądały. W trzecim dopiero pokoju siedziały Anamitki, zupełnie zwyczajnie ubrane, trochę tylko bielsze i z dłuższymi paznogociami, niż u zwykłych, nie dostojnie urodzonych kobiet. Jedna z nich była żoną wice-króla, prosiła nas uprzejmie usiąść na ogromnej kanapie, zupełnie europejskiej, na sprężynach, i posłała zaraz po tłumacza, który jednak bardzo słabo mówił po francusku.

Dowiedziałyśmy się jednak od niego, że Kuich-luse stale przebywa na dworze cesarskim w Hué, co dwa lub trzy lata tylko przyjeżdżając do Tonkinu. Żona jego przyjeżdża częściej i jest już od miesiąca.

W tym pokoju wisiały portrety ich obojga, bardzo dobrane zrobione, bo zaraz ją można było poznać, oprócz fote-



li, na których te panie siedziały i kanapy, była tam jeszcze śliczna inkrustowana szafka i bardzo piękny haft. Ale to też i wszystko, nic z tych drobnych gracików, których się spodziewałam widzieć, tylko te ogromne meble, które, jak mamusia mówi, wyglądają zimno i czynią wrażenie niezamieszkałego domu. Herbatnik, filiżanki i pudełko z betelem, to jedyne przedmioty, świadczące o obecności państwa. Kobiety tutejsze z dobrych domów nic nie robią, czytać nie umieją, haftów także nie, więc siedzą tylko i gawędzą.

Za naszym przyjściem pospuszczały zaraz nogi, widocznie wiedzą, że u nas to jest źle uważane; a ja chyba mam coś anamickiego w żyłach, bo bardzo lubię siedzieć z podłożonymi nogami, o co się mamusia nie raz na mnie gniewała.

(d. c. n.)

## O FOTOGRAFII.



roszę przybrać przyjemny wyraz twarzy!

— Proszę się nie ruszać!

— Zaczynam!... Dziękuję!

Te słowa brznią mi w uszach, gdy przypominę sobie scenę fotografowania, przyczem zdaje mi się, iż czuję w tylnej części głowy ściskanie metalowej obręczy, sztywność powiek i drganie ust. Wlepiam oczy w stojący na trójnogu aparat z lufą wystawioną ku mnie, jak armata. Pstryk pstryk! w parę sekund słońce uwieczniło mój obraz na kliszy. Operacja nie długa ani zbyt męcząca. Po paru dniach doznaję niewypowiedzianej przyjemności oglądania siebie w nowym ubraniu i niezwykle starannem uczesaniu, ofiarowania swego konterfektu krewnym i życzliwym oraz przechowania go w pięknym albumie dla podziwu przyszłych pokoleń.

W życiu potocznym łatwy sposób otrzymania własnych podobizn wydaje się głównym zadaniem i pożytkiem fotografii, tymczasem jest to zaledwie jedna z wielu usług, którą nam oddaje ten wielki i nieoceniony wynalazek.

„Światło i wiedza dały tobie życie,

O fotografii! a czyni twojami

Jest — dać nam wierne natury odbicie

I obraz ruchu wszech stworzeń tej ziemi.”

(Wł. Karoli)

Tak mówi poeta, ja zaś biorąc assumpt z wystawy fotograficznej, urządzonej w Ratuszu na dochód Towarz. Dobroczyńności, chcę pogawędzić w krótkości z czytelnikami „Wieczorów” o fotografii i jej najnowszych zastosowaniach przypominając, że o pierwszych jej wynalazkach (Daguerrre, Niepce, Talbot), pisaliśmy już w N 37 r. b. W szczególności wdawać się nie będę, lecz ciekawych i amatorów odsyłam do podręczników A. Karolego, Bohdanowicza, Pizighelego, lub Lebedzińskiego.

Ojcem fotografii jest światło, matką — wiedza, a zwłaszcza dwie jej gałęzie: fizyka i chemia. Technika, niby zdolna krawczyni wciąż ją przystrajają w coraz lepsze i doskonalsze przyrządy, tak iż sztuka fotograficzna zaledwie około 60 wiosen licząca, jest niezmiernie pożyteczną osobką i wywdzięczyła się stokrotnie już fizyce, chemii i technice, pomagając im do robienia nowych odkryć i doświadczeń. Zasadą fotografii jest utrwalenie obrazów, otrzymywanych w ciemni optycznej (camera obscura), czyli ciemnej przestrzeni, do której światło wpada przez szklaną wypukłą soczewkę (objektyw) i rysuje na przeciwległej

ściance, ale odwrotnie, kolorowe odbicie tego, co się znajduje przed obiektywem, Utrwalenie to osiąga się dzięki rozmaitej wrażliwości różnych soli, zwłaszcza soli srebra (bromek i jodek srebra) na światło. Szklaną płytę (kliszę) pociągniętą żelatyną, zawierającą ową sól, umieszcza się w aparacie fotograficznym, to jest odpowiednio urządzonej ciemni optycznej z obiektywem, tak, aby na nią padał wyraźny obraz przedmiotu, który fotografować mamy.

Obraz ten, składający się z cieni i światła, działa na sole srebra w ten sposób, że rozkłada je w miejscach jasnych, w ciemnych zaś pozostawia bez zmiany. Po upływie pewnego czasu, zależnego od siły oświetlenia i wrażliwości kliszy, a wynoszącym od kilku sekund do  $\frac{1}{100}$  sekundy, ekspozycja jest ukończoną, pochwytiliśmy obraz, ale go trzeba jeszcze wywołać, by stał się widocznym i następnie utrwalić, aby nie szczyrniał pod wpływem światła; czynności te skuteczniają się za pomocą innych znowu preparatów chemicznych.

Teraz więc mamy na szklanej kliszy odwrotny obraz (negatyw) żądanego przedmiotu.

Z negatywu znowu przez działanie światła możemy otrzymać dowolną ilość kopii (pozytywów) na papierze, drzewie, porcelanie metalach i t. p. byle pokrytym warstwą czułego na działanie światła chlorku lub azotu srebra. Gdy położymy kliszę z negatywem na ów czuły papier i wystawimy na działanie światła, punkta papieru leżące pod jasnymi punktami kliszy szczyrnieją, a inne pozostaną bez zmiany. W ten sposób otrzymamy pozytyw, czyli właściwą fotografię, którą należy jeszcze utrwalić, wymyć, i wysatynować i t. p. wreszcie nakleić na karton.

Przez długi czas, z powodu małej czułości klisz, ekspozycja, a więc i pozowanie przed aparatem, wymagało kilku sekund, co nie tylko było utrudzające, lecz uniemożliwiało fotografowanie przedmiotów lub osób, będących w ruchu. Dzięki jednak ulepszeniu w wyrobieniu klisz zaczęto robić zdjęcia momentalne, wymagające niezmiernie krótkiego otwierania kamery, do czego służą tak zwane przyrządy migawkowe. Obecnie więc można zdejmować fotografie niezmiernie szybkich ruchów nieuchwytnych dla oka ludzkiego, jak lot ptaka, skok konia, spadanie kropli, ruch ust wymawiających wyrazy, pęd iskry elektrycznej i t. p.

Nie dość na tem, fotografowanie nie wymaga teraz koniecznie światła dziennego, można fotografować przy świetle sztucznem: elektrycznem, magnezyowem, i t. d.

Tym migawkowym zdjęciom zawdzięczamy przyrząd bardzo ciekawy, zwany *kinematografem*, za pomocą którego widzimy odtwarzane na ekranie różne sceny z życia rzeczywistego w pełnym ruchu, na przykład; szturm Pekinu, obiad na pensyi, kłótnię, i t. p., a wszystko odbite z najściślejszą dokładnością i drgającą życiem. Kinematograf jest to rodzaj latarni czarnoksiężkiej, ale na ekran rzucają się nie odbicia malowanych na szkiełkach obrazków, lecz fotografii tej samej sceny, zdejmowanych za pomocą stosownych automatycznych przyrządów z nadzwyczajną szybkością. Kiedy potem przesuwamy te klisze z równą szybkością przed latarnią, oko nie może uchwycić szybkości przesuwania i łączy te, błyskawicznie mknące po sobie obrazy w jeden, ale pełen ruchu i życia tak, jak je widzimy w rzeczywistości.

Kinematograf urządzony przez firmę J. Golcz pokazywano właśnie na wystawie, gdzie budził ogólne zajęcie.

W ostatnich czasach wynaleziono sposób fotografowania przedmiotów wraz z ich właściwymi barwami, czyli robienia fotografii barwnych, które należy odróżniać od fotografii kolorowanych.

Kiedy ten wynalazek wydoskonalą, będzie to rzeczywiście najzupełniejsze odbicie natury w ruchach i kolorach, tymczasem jednak pozostawiają wiele do życzenia, bo obraz kolorowy występuje na kliszy dopiero wtenczas, kiedy go oświetlimy tak, że światło odbije się, od jego powierzchni i wpadnie do oka.

A teraz zastanówmy się jakie usługi oddaje fotografia,



nie wspominając już o jej zastosowaniu w życiu codziennym — to jest do otrzymywania portretów osób, widoków gmachów i miejscowości, zdjęć rozmaitych wypadków, zebrań, uroczystości i t. p. Astronomia zawdzięcza jej doskonałe obrazy ciał niebieskich i ich położenia, ułatwiając przygotowanie mapy nieba; oprócz tego odkrywa na tych zdjęciach także gwiazdy i mgławice, które nawet przez silne teleskopy nie mogą być dostrzeżone. Fotografia pozwala fizykowi otrzymać obrazy niewidzialnej ultrafioletowej części widma słonecznego, iskry elektrycznej, i czynić rozmaite spostrzeżenia z dziedziny optyki, ruchu mechanicznego i t. p. Przyrodnikowi ułatwia badania nad drobnoustrojami przez powiększanie ich obrazów do wielkich rozmiarów, malarzowi i rzeźbiarzowi utrwała pozy, linie i kontury, sędziemu pomaga w wykryciu fałszerstwa pisma i druku. Wszędzie niemal na każdym kroku, w pracowni uczonego czy w tornistrze podróжного aparat fotograficzny jest nieodzownym towarzyszem, zarówno jak pióro i atrament.

„I gdzież dzisiaj nie kwitnie sztuka fotografii!  
Na szerokich gościńcach i na skromnej miedzy,  
Bo stała się potrzebą dla życia i wiedzy  
I wszędzie, gdzie ją wezwać, pomoc dać potrafi.

Krynica jej rozwoju jeszcze nie wysycha,  
Nie powiedziała dotąd ostatniego słowa;  
Zamrzemy, dla potomnych lepiej nas zachowa,  
Niżli ongi kronika klasztornej mnicha.

A. Orłowski.

Fotografii zawdzięczamy też wzrost pism ilustrowanych i reprodukcji obrazów i rycin, gdyż za jej pomocą możemy otrzymywać prędko i względnie tanio klisze, które się następnie odbijają na papierze w drukarni, a które dawniej można było otrzymywać tylko pracą ręczną (miedzioryty i drzeworyty).

Sztuka fotograficzna rozwinęła się u nas bardzo szybko. Około 1850 r. pierwszy zakład w Warszawie otworzył Karol Bayer, a następnie Giewartowski, Pusz, Dutkiewicz, Mieczkowski, Brandel i wielu innych, tak, iż obecnie miasto nasze posiada kilkanaście znakomicie prowadzonych pracowni. Ale co ważniejsza, Polacy uczynili na polu fotografii wiele cennych wynalazków, które posunęły ją naprzód. Na tem polu odznaczyli się: Prażmowski (ulepszone obiektywy) Brandel (aparat rewolwerowy) Lebedziński (kinematograf) wreszcie Szczepanik. Nadmienić należy, że wyroby miejscowe, służące do otrzymywania fotografii, niczem nie ustępują zagranicznym.

W końcu dodać muszę, że mamy wielu fotografów-amatorów, którzy doszli do wielkiej wprawy i otrzymują wcale niezłe zdjęcia. Niewątpliwie, że i wśród czytelników „Wieczorów” są tacy amatorowie i amatorki. *Prosimy ich bardzo o nadsyłanie nam prób swojej umiejętności*, lecz tylko takich, które przez nich samych były wywołane, utrwalone i skopowane. Uważamy bowiem, że prawdziwy amator nie powinien ograniczać się jedynie pociśnięciem guzika od aparatu migawkowego, co każdy potrafi, lecz nauczyć się

wykonywać osobiście, z należytą dokładnością i wytrwałością cały szereg czynności, potrzebnych dla otrzymania fotografii, a nie oddawać swoich klisz fotografom-zawodowym, Pamiętaj tylko należy, że czynności te wymagają znajomości przedmiotu, czystości, cierpliwości i wreszcie ostrożności, bo niektóre preparaty chemiczne, używane przy fotografii, zawierają silne trucizny.

Na zakończenie tej pogawędki podajemy umieszczone w „Sporcie” w przekładzie polskim wiersz Ojca Świętego, Papieża Leona XIII o sztuce fotograficznej. Wiersz ten nosi tytuł: *Ars photographica* i zaczyna się od słów: *Expressa solis spiculo, nitens imago*.

Dziecię złotego słońca, błyszczący obrazku,  
Jakże ty wdzięcznie wydobylasz z cieni  
Wyniosłość czoła w aureoli blasku,  
I rzeźbisz lice rylcami z promieni!

O, ludzkiej myśli nowy wynalazku!  
Nawet Apelles, choć rywal przyrody  
Znacząc przelotne widziadła w obrazku,  
Z tobą by w prawdzie nie poszedł w zawody.

W. R.

## SZARADA.

od Wróżki szczęścia dla czytel. Wieczorów.

*Pierwsza* jest w książce, lecz także w kajocio  
*Że druga* w oku dobrze o tem wiecie,  
*Trzecią* w swych palcach na pewno zna, dziecie,  
*Czwartą* znów w echu powtarza się w świecie.  
*Piątą* ma róża czerwona, czy biała,  
Bez *szóstej* nazwa nie byłaby cała.  
*Siódma* jest w izbie — ważna chociaż mała,  
*Osmą* nareszcie kara otrzymała.  
A wszystko razem wielki nasz uczonec,  
Co praw przyrody uchylił zasłony.

## ROZWIĄZANIA DO Nru 39-go.

*Szarady:* Krzyżaki. (1-o gatunek pajaków. 2-o gatunek rzadki lisa z dwoma czarnymi pasami w poprzek).

### Zadania arytmetycznego:

Julek miał jeszcze 45 jablek, a Waciu rozwiązał to zadanie w sposób następujący. Najprzód od 60 odjął 10, zostało 50, ta liczba zawierała liczbę jablek, którą posiadał Julek i jeszcze  $\frac{1}{9}$  część tej liczby, czyli  $1 + \frac{1}{9} = \frac{10}{9}$  owej liczby. Jeżeli zaś  $\frac{10}{9}$  niewiadomej liczby = 50, to  $\frac{1}{9}$  jej = 5, a  $\frac{9}{9}$  czyli cała owa liczba = 45.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośzeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Dobra gosposia, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Stanisław Staszyc. — Przygody królewicza Edwarda. — Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrené-Morzowską — Dzienniczek Wandzi. — O fotografii (z ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Żółwie, przez A. Z. (z ryc.) — Dzwonek szkolny, wiersz przez Irenę Mrozowicką. — Cesia, przez M. B. — Dzieci w podróży. — Łamigłównki i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Hrabina powieść przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Довозено Цевгурю. Варшава 22 Сентября 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



## ŻÓŁWIE.

Ziemia nasza pełna jest różnorodnych zwierząt. Ludzie uczeni zwierzęta owe podzielili na działy, czyli typy, stosownie do ich powierzchowności i wewnętrznego składu.

Do pierwszego najwyższego typu, należą zwierzęta kręgowce, które posiadają szkielet kostny. Tu więc, zaliczamy najpierw zwierzęta ssące; dalej ptaki; wreszcie rozmaite płazy lub gady — i ryby.

Zwierzęta ssące i ptaki, to najwięksi ulubieńcy człowieka; ryby zajmują go również piękną barwą swej łuski i chyżością, z jaką się uwijają w głębi przezroczystej wody — ale na samo brzmienie wyrazu płaz lub gad, każdy się otrząsa. Wśród tych płazów jednak znajdują się gatunki bardzo pożyteczne i o nich właśnie pomówimy: są to żółwie.

Ciało żółwia krępe i silne pokryte jest skostniałym - rogowym pancerzem, złożonym z dwóch tarcz: grzbietowej — wypukłej i brzusznej — płaskiej.

Z pomiędzy tych dwóch blach spojonych z sobą, żółw dowolnie wysuwa głowę, cztery łapki i ogonek. Głowa zakończona jest rodzajem dzioba, opatrzonego, jak u ptaków ostremi krawędziami zamiast zębów.

Twardy pancerz żółwia dostarcza cennego szyldkretu, a mięso wielu z nich daje smaczne i zdrowe pożywienie.

Stosownie do miejsc, które żółwie zamieszkują, podzielono je na trzy rodziny: żółwi lądowych, słodkowodnych i morskich.

Wszystkie one składają jaja, z których wylęgłe młode żółwięta od pierwszych chwil życia same o sobie pamiętać muszą.

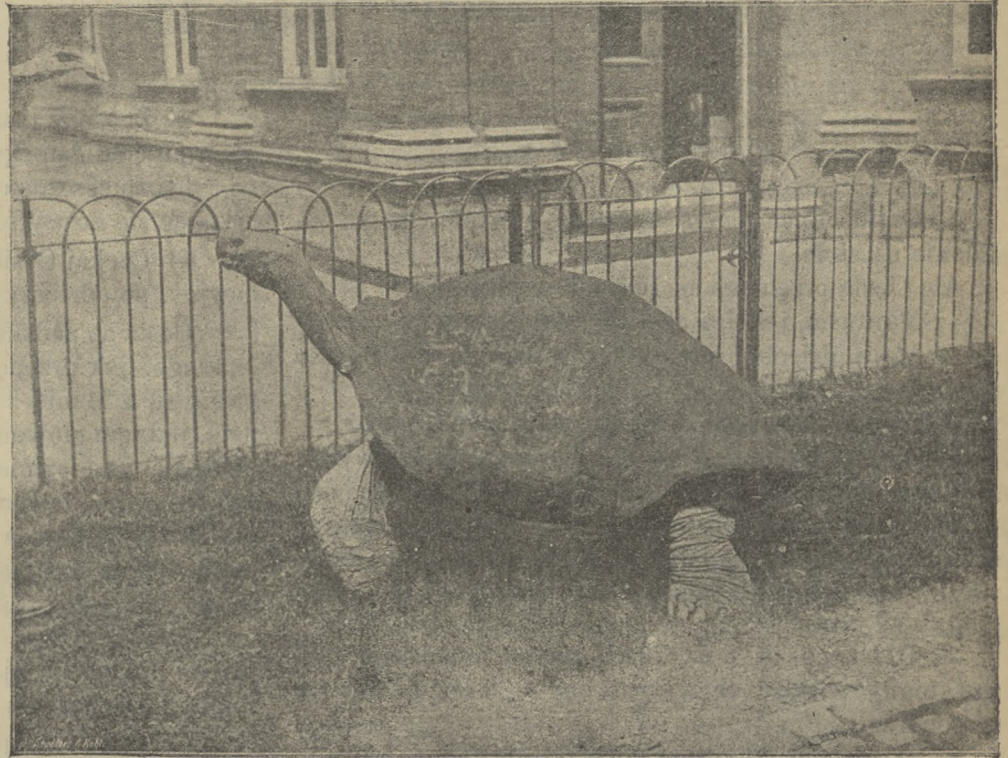
Z pomiędzy żółwi lądowych najcenniejsze są greckie. Matki wylęgają się z jajeczek wielkości włoskiego orzecha, które matka zagrzebuje w ciepłym piasku.

Dorósłszy, dochodzą zaledwie pięciu funtów wagi i dwudziestu kilku centymetrów długości; ale mięso ich

odznacza się wybornym smakiem i to stanowi o ich wartości. Żywią się zielkiem, owocami, ślimakami... na ziemię zagrzebują się w ziemię i zasypiają.

Wobec tego żółwika — *żółwia słoniowego* — wielkim nazwać możemy. Dochodzi 200 f. wagi, a jaja z których się wylęga mają do 18 cm. obwodu. Żółw ten żyje na wyspach Ameryki południowej, gdzie bywa obficie poławiany. Indianie żywią się jego jajami i mięsem, z którego nawet olej wygotowują.

Choć mieszkaniec lądu, żółw słoniowy bardzo lubi wodę, nietylko więc chętnie żywi się soczystymi kaktusami



Olbrzymi żółw szyldkretowy w ogrodzie zoologicznym w Loudynie, 2 metry długi, ma 150 lat.

mi, przebywa z przyjemnością w kałużach wód słodkich, ale jeszcze odbywa wędrówki do brzegów morza, przechodząc na godzinę 360 łokci. Na tak poważne i ociężałe stworzenie, jest to krok wcale prędkie.

Z żółwi słodkowodnych najbardziej znanym jest *żółw błotny*, zamieszkujący Azyę, Afrykę i środkową Europę. Dochodzi do 40 cm. długości; żywi się przeważnie rybami, żabami, robakami i t. p.; pływa po wodzie bardzo zrzęcznie. Mięso posiada jadalne.

(d. n.)



## Dzwonek szkolny.

Rozśpiewały się fujarki  
 Po lesie,  
 Cichy wietrzyk ich piosenkę  
 W dal niesie.  
 Rozdzwoniły się dzwoneczki  
 W dąbrowie,  
 A któż głosy ich podsłucha,  
 Opowie?  
 Kto odgadnie, komu dzwonią  
 I na co,  
 Kiedy wietrzyk je potrząsa  
 Ladaco.  
 Ale oto ponad wszystkie  
 Te głosy  
 Jeszcze jeden je unosi  
 W niebiosy.  
 Głos donośny a tak dźwięczny,  
 Wesoly  
 Głos dzwoneczka, który wzywa  
 Do szkoły.

Dziatwa słysząc go szepce!  
 „Oj szkoda.  
 Że się kończą wakacye,  
 Swoboda.  
 Jeszcze grzybów się po lasach  
 Niemało  
 I orzechów na leszczynie  
 Zostało.  
 Jeszcze wabią nas skrzydełka  
 Motyle,  
 Dzwonku szkolny zaczekaj  
 Choć chwilę!”  
 Ale dzwonek nie słucha,  
 Nie czeka,  
 Tylko dzwoni a dzwoni  
 Zdaleka.  
 I namawia i prosi  
 A wzywa,  
 Aż go dziatwa usłucha  
 Gwarliwa.

Od wsi do wsi, i od miasta  
 Do miasta  
 Tak chér dzwoneków w wielkie granie  
 Wyrasta.  
 Jak na święto, na Wielką  
 Niedzielę  
 Głosi światu nadzieję,  
 Wesele.  
 Obiecuje rozlicznych  
 Moc cudów,  
 Chociaż wzywa do pracy  
 I trudów.  
 Dzwoncież tedy, szkolne dzwonki,  
 Rozgłośnie —  
 Niechaj z niego przyszłość wasza  
 Wyrośnie.

*Irena Mrozowicka.*

## Cesia.

— Ciesiu, Ciesiu, czas wstawać — woła mama —  
 śniadanie na stole.

Ale Cesia przeciąga się leniwie w łóeczku.

— Mamusiu, jeszcze chwilkę, tak dobrze poleżeć.

— Moje dziecko, już wszyscy wstali, nie bądźże  
 leniuszkiem.

— Dobrze, mamusiu, wstanę zaraz, zaraz..

Lecz zaledwie mama wyszła z pokoju, Cesia wycią-  
 gnęła się wygodnie, oczki przymknęła. I tak codzien-  
 powtarzała się ta sama historia, nic też dziwnego, że gdy  
 Cesia przychodziła do jadalnego pokoju, wszyscy domo-  
 wi byli już dawno po śniadaniu i rozeszli się do swoich  
 zajęć.

— Dlaczego to u nas tak wcześniej śniadanie? Nie  
 mogę nigdy zasiąść ze wszystkimi — skarżyła się raz  
 Cesia mamie.

— Wcześniej? Spójrzj córeczko na zegar, która to  
 godzina?

— Mój Boże! to już wpół do dziesiątej, nie przy-  
 puszczałam, że tak późno.

— A jednak dzisiaj budziłam cię dość wcześniej.

— Prawda, mamusiu, ale to tak przykro wstawać  
 z łóżka, oczy same się zamykają. A przytem Anusia by-  
 ła zajęta sprzątaniami i nie mogła mnie ubrać.

— Moje dziecko, czas byłby, abyś umiała sama się  
 ubierać, taka już duża z ciebie dziewczynka, sama  
 powinnaś dać sobie radę.

— O, moja mamusiu, gdy dorosnę, to wszystko po-  
 trafię teraz to jeszcze tak nudno.

— Ale za to jak wygodnie, nie oglądać się na cudzą  
 pomoc.

— Zobaczy mama, że się później nauczę, tymczasem  
 mam przecie Anusię.

I rozpieszczona dziewczynka ucałowała mamę, za-  
 bierając się do wyjścia.

— Czekaj Ciesiu, nie powiedziałaś ci jeszcze dobrej  
 nowiny, pojedziemy na cały miesiąc do wuja.

Cesia aż podskoczyła z radości, bo czy może być coś  
 lepszego, jak przepędzić cały miesiąc na wsi u wujostwa,  
 bawić się z Manią i Stasiem, biegać cały dzień po ogro-  
 dzie, jednym słowem używać tysiąca przyjemności. Ciesi-  
 zyla się też niezmiernie, jedna tylko myśl mąciła jej we-  
 sołość, a mianowicie, miała tylko z ojcem wyjechać,  
 mama zaś dopiero w tydzień później. Smutno było Cesi  
 rozłączać się z mateczką, lecz pocieszała ją myśl wesołej  
 zabawy na wsi.

Rzeczywiście, rozrywek nie brakowało Cesi. Wu-  
 jostwo dogadzali jej we wszystkim, a Mania i Staś radzi  
 też byli z przybycia siostrzyczki.

— Jak to dobrze, że przyjechałaś, będzie nam dale-  
 ko weselej — rzekła Mania.

— Tylko nie śpij codzień tak długo — dodał Staś—  
 będzie więcej czasu do zabawy, to tak przyjemnie pobie-  
 gać rano.

Ale to ostatnie było najtrudniejszym do wykonania.  
 A już najgorzej z ubraniem. Dzieci wujostwa ubierają  
 się same, służąca najczęściej zajęta, a Cesia rady so-  
 bie dać nie może, czasem pomaga jej Mania, czasem  
 przyjdzie ciocia, lecz leniwa dziewczynka woli godzinę  
 w łóżku leżeć i czekać na czyjaś pomoc, niż zabrać się  
 samej do ubierania. Potem przy zabawie zapomina się  
 o rannych kłopotach, czas mija szybko i Cesia ani się  
 spostrzegła, jak zbliżył się dzień mamy przyjazdu.

Pewnego dnia przy kolacy, wuj odezwał się nagle:



— Kto z was ma ochotę pojechać ze mną jutro na stację? Zapewne Cesia, nieprawdaż?

— Dla czego ja wujaszku?

— Bo twoja mama przyjeżdża i ciocia Hela z dziećmi.

— Mamusia przyjeżdża! mój Boże, jaka ja szczęśliwa!

— Pojedziesz na spotkanie?

— Naturalnie!

— Ale i my pojedziemy — zawołała Mania.

— Tak, pojedziecie wszyscy, ale bądźcie gotowi, bo ja na nikogo czekać nie będę, a pociąg przychodzi o dziewiątej rano.

— Nie spóźnimy się, nie spóźnimy na pewno.

Nazajutrz służąca przyszła wcześniej niż zwykle obudzić dzieci, Staś zerwał się zaraz, lecz Mania i Cesia odpowiedziały swoim zwyczajem: Jeszcze chwilkę! I na powrót zasnęły.

Wchodząca do pokoju ciocia znalazła je w łóżkach.

— Dzieci, prędzej, śpieszcie się, za godzinę trzeba jechać, a wy nie ubrane.

— Mamusiu, ja będę zaraz gotowa — zawołała Mania, wyskakując z łóżeczka.

Cesia poszła za jej przykładem, lecz pospieszyć nie mogła, Mania ubrana poszła na śniadanie, a ona jeszcze bucików nie zapięła.

— Pomogę pani — powiedziała służąca, wchodząc.

— Ach, moja Katarzyno, ubierz mnie, ja sama nie mogę — zawołała Cesia.

Ale nie długo trwała pomoc, zaledwie służąca umyła ją i uczesała, ciocia odwołała ją do jakiejś pilnej roboty, Cesia została sama. Wtem daje się słyszeć głos wuja:

— Trzy kwadranse na dziewiątą! kto gotów, niech siada.

Biedna Cesia rozplakała się głośno i długo uspokoić się nie mogła, tak jej żal było, że z własnej winy nie może mamy wcześniej powitać, przyrzekła też sobie odtąd nie być leniuszkiem.

Marya Bełtowska.

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg)

Helenka wyśmiewa się z Janka, który zapowiada, że jak się dostanie do cioci-babci, to będzie się wysypiał do dziesiątej, i nie będzie się wcale spieszył. Nie będzie już nikt na niego wołał: „Śpieszmy się, bo się spóźnimy na pociąg!” „Prędko! ubieraj się, bo czas jechać!”

— Wiadomo, że Janek nie lubi się spieszyć — dodaje Helenka. — Janek jest maruda, safandula.

Janek. A ty jesteś sroka! papla!

Helenka. Cóż to znaczy sroka? papla? To przecież nic złego.

Janek. To bardzo złe, to wielka wada, jak żona za dużo mówi.

Helenka. Żona! Nie będę przecież twoją żoną: za mały jesteś na mojego męża.

Janek (rozgniewany). A ty jesteś za stara na moją żonę!

Janinka. Więc cóż będzie? Jakże wolicie?

Helenka. O! to nic trudnego! Wydrukujemy afisze:

„Janek Korwin, kawaler do wzięcia. Dobry chłopczyk, tylko maruda, i nie umie sobie zapiąć trzewików, a spać lubi bardzo długo.”

Janek (bardzo rozgniewany). A o tobie tak będzie: „Helenka Nałęczówna, śliczna panienska, tylko ma język bez końca.”

Helenka. Co to znaczy język bez końca? Wcale nie dłuższy od twojego! Mieści się cały w ustach.

Janek. Ale się ciągle rusza, panno paplo.

Helenka. O! a twój czy siedzi spokojnie?

Janinka (tonem macierzyńskim). No! no! no! Dajcie pokój!

Janek. To tylko tak dla zabawki, Janinko! Helenka przecież wie, że nie mogłem zapiąć bucików, bo zgubiłem haczyk.

Helenka. A widzisz! Zgubiłeś haczyk, upuściłeś gąbkę pod wagony, zabrałeś z Krakowa ręcznik... O śliczny z ciebie kawaler!

Na szczęście pociąg staje na stacji i to zdarzenie przerywa sprzeczkę. W Tarnowie będzie się jadło obiad, zaraz się poprawią humory.

Istotnie, Helenka i Janek powracają do wagonu w najlepszych stosunkach, i jednym oknem wyglądają na peron, gdzie jakiś pan przechadza się z prześlicznym psem, któremu dzieci nie mogą się napatrzeć. I w chwili, gdy pociąg rusza, Helenka i Jankowi przychodzi do głowy pusta myśl i zaczynają przesyłać psu ukłony ręką od ust.

— Bywaj zdrów, piesku! Już cię więcej nie zobaczymy!

Właściciel psa spostrzega kogoś kłaniającego się z wagonu i sądzi, że dla niego przeznaczone te pozdrowienia. Poprawia binokle i biegnie za odchodzącym pociągiem, usiłując napróżno rozpoznać znajomych, którzy mu się kłaniają; a jego zadziwiona mina pobudza dzieci do szalonego śmiechu. I odtąd przybywa im nowa zabawa. Na każdej stacji upatrują sobie jakąś ofiarę, której w chwili ruszenia pociągu, zaczynają przesyłać bardzo uprzejme ukłony, bawiąc się zdziwieniem zaskoczonych zniemacka, goniących pociąg i oddających ukłony osób.

Nie gorscie się zbyt, czytelnicy, tą pustotą niewinną w gruncie, a skracającą nudy podróży w dzień upalny. Lepsze to w każdym razie niżeli sprzeczki, często kończące się prawdziwym gniewem.

Tadzio też przykłada się do ulżenia nudów podróży, proponując nową grę. Ten Tadzio jest niewyczerpany w pomysłach! Gra polega na tem, że jedno z dzieci wymawia szybko cztery rzeczowniki, zupełnie z sobą niedobrane, a drugie jak najprędzej składa z tych rzeczowników całe zdanie. Wychodzą z tego najzabawniejsze mieszaniny. Naprzykład Tadzio mówi:

— Żołnierz, powóz, ciastko, włos!

A Helenka podąża z odpowiedzią:

— Żołnierz jedzie powozem i je ciastko w którym znajduje włos..

Tadzio (do Janka). Lokomotywa, pigułka, piernik, pies!..



Janek. Za lokomotywą pędzi pies, który zażył pi-  
gułki i niesie piernik...

Dziewczynki wołają, że to niema sensu.

Janek. Niema sensu? Więc ułóżcie to lepiej.

Janinka. Tadzio! powiedz co dla mnie!

Tadzio. Babcia, chmury, szynka, kot...

Janinka. Babcia trzyma kota na kolanach i daje  
mu szynkę, patrząc na chmury...

Tadzio. Dawaj fant!

Janinka. Dlaczego?

Tadzio. Dodałaś jeden rzeczownik *na kolanach*, a nie-  
wolno dodawać rzeczowników... Teraz kolej na Helenkę.

I bawią się dalej i śmieją się, gdy się ułożyło, że  
*nosorożec zjadł doktora, który znalazł chrabąszcza w swojej  
herbacie*, albo, że *koń ubrany w kapelusz, przydeptał kopytem  
węgorza*. Przyczem pan Nałęcz objaśnia, że nie jest to  
takim nonsensem, jakby się zdawało, bo w południowych  
krajach, gdzie słońce bardzo piecze, w niektórych miej-  
scowościach ubierają konie w słomiane kapelusze, dla  
uchronienia ich od porażenia słonecznego — a węgorze,  
jako należące do grupy pośredniej pomiędzy płazami  
a rybami, nietylko pływają w wodzie, ale i pełzają po zie-  
mi, i nieraz zdarza się je chwycić na łące, nad brzegiem  
rzeki, pełzające jak gady, szczególnie jeże! w pobliżu  
rośnie groch, ulubiony ich przysmak.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Nad jeziorem, nad szerokiem,  
Stara wieża stoi,  
Jej odwieczne, szare głazy  
Bluszcz zielony stroi.

Do tych zwalisk starodawne  
Podanie się wiąże,  
Bo tu kiedyś miał przebywać  
Zły, okrutny książę.

Ten na ucztę sprosił krewnych,  
Zadał im truciznę,  
Aby po nich bez przeszkody  
Zagarnąć spuściznę.

Ale myszy wielkim mnóstwem,  
Na księcia napadły,  
Okrutnego truciciela,  
Tam na wieży zjadły.

Nad jeziorem sterczy dotąd,  
Bajeczna wieżyca,  
A tuż obok miasto stare  
Zowie się .....

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

uł. Cyganka i Cyganiątko.

Z następujących sylab: A—al—gęś—cha—dye—ka—me—  
in—lew—yard—py—ry—ta — ułożyć 7 wyrazów, których po-  
czątkowe litery złożą nazwę prowincji austriackiej. Znaczenie  
wyrazów: 1) Ptak z grom. pływających. 2) Część świata. 3) Zwie-  
rzę z rodz. kotów. 4) Kraj w Azji. 5) Skromny dom mieszkalny.  
6) Miara długości angieli. 7) Góry w Europie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Zagadki: O p a l.

### Łamigłówni kryształowej:

A  
b u k  
m a s z t  
p a n t e r a  
A u s t r a l i a  
p a r a s o l  
l a l k a  
l i s  
a

### Skrzynka do listów.



**Pracowitej.** Termin nadsyłania robót ręcznych na konkurs  
przedłużony został do 1 Listopada, jak to ogłosiliśmy w poprze-  
dnim numerze. Jeśli więc chcesz oprócz sukienek nadesłać jesz-  
cze na konkurs bieliznę własnej roboty, możemy tylko pochwalić  
twoją pracowitość i podziękować za nią w imieniu dziatwy, która  
plon z konkursu tego otrzyma.

**Zbigniewowi.** Zupełną masz słuszość, twierdząc, iż słowa  
honoru zbyt często używać nie należy; każdy człowiek powinien  
zawsze mówić prawdę, więc dla zyskania wiary u drugich wy-  
starczać mu winno zwyczajne zapewnienie. Słowo honoru jest  
już rodzajem przysięgi, którego nietylko nie należy lekceważyć,  
lecz używać lub żądać od drugich jedynie w razach wyjątkowych  
i wielkiej wagi. Ci, którzy ciągle byle o co powtarzają „Daję  
słowo honoru” lub inne zaklęcia, dowodzą przedewszystkiem złe-  
go wychowania, a następnie lekceważenia swego honoru. Najczę-  
ściej się zdarza, że tacy właśnie wątpią sami, czy zasługują na  
wiarę u innych

**Dobre Rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali:**  
Zbigniew, Sir Warburton, Gwiazda, Pracowita i K. z Batumu. (Czy  
nie spotkałaś się tam z Łochozwianką?)

Ucieszył mnie list twój, **Prządko złotych nici**, żeś tak przy-  
jemnie i pożytecznie spędziła wakacje. Widzę z niego, że sta-  
łaś się wyborną wioślarką, że zyskałaś powodzenie w przedsta-  
wieniach amatorskich a nie zapomniałaś o czynieniu dobrze po-  
trzebującym i to własną pracą. Spodziewam się, że mi opiszesz,  
jak się uda powtórzenie waszego przedstawienia w obec większe-  
go grona widzów w Łodzi, i że nie zapomnisz o naszym konkursie.

I ja po długiej nieobecności przyfrunęłam znowu do swego  
gniazdka w Warszawie. I mnie przyjemnie zeszyły wakacje na  
wsi w malowniczej okolicy, przy ślicznej na ogół pogodzie. Bra-  
kło mi tylko listów od korespondentów i korespondentek moich.  
Dziękuję bardzo tym, którzy pamiętali o mnie w czasie wakacji  
i nadesłali tyle ładnych kart, a teraz zawiadamiam wszystkich czy-  
telników „Wieczorów”, że jestem znowu na ich usługi i pragnę,  
aby mi przysyłali całe stosy listów, liścików i kartek.

wasza *Jaskółka*.

### Zarcik na zakończenie.

Niski Janek do wysokiego Franka.

Zamoczyłem wczoraj nogi i mam... mam... (*kicha*) dziś  
straszny katar.

*Wysoki Franek* — E! bo ty taki mały jesteś! (*z dumą*)  
Ja, kiedy zamoczę nogi w poniedziałek, to dostaję kataru dopie-  
ro w sobotę!